



Wyd. marzec, kwiecień 2011, nr 23

Cena: 1,90 zł (w tym 5% VAT)

Nakład: 500 egz.



Mirski Teatr Niemieckojęzyczny „Gedandenstrich” w Łodzi.

fot. Paulina Krakowska

Czasopismo wydawane przez Stowarzyszenie Promocji i Rozwoju
Pogórza i Gór Izerskich „Zakwisy”

www.zakwisy.pl

Wesołych Świąt

Wielkiej Nocy

*Taj przepięknie malowanych,
Świąt wesołych, roześmianych.
W poniedziałek kubek wody.
Szczęścia, zdrowia oraz zgody.*

życzą

*Alina i Stanisław Wojechowscy
wraz z personelem*



*Żeby śmiały się pisanki,
Uśmiechały się baranki,
Mokry Śmigus zraszał skronie,
Dużo szczęścia sypiać w dłonie.*

życzą

*Maria i Wojciech
Klimkowscy
wraz z*

personelem sklepów "Fraszka"



Teatr, poezja i wiosna, czyli pochwała Łodzi

„Wspomnienie pierwszego przyjazdu na łódzki „Camerimage” tkwi we mnie bardzo głęboko. Zimowe światło, chmury, architektura i ludzie stworzyli atmosferę, w której zakochałem się w ciągu chwili. I do tego te stare fabryki! Niezwykle pozostałości po rewolucji przemysłowej! Dzisiaj już takich miejsc prawie na świecie nie ma. Zastępują je sterylne, nowoczesne, kompletnie bezosobowe kombinaty. Łódź ma duszę. Dlatego ją tak bardzo polubiłem”. David Lynch, „Wysokie obcasy”, nr 26 (427)

O tym, że Łódź ma duszę, i to jaką, zdążyła się przekonać także grupa sześciu uczennic z mirskiego Liceum Ogólnokształcącego w zeszłym roku,

uzupełniony krótkimi fragmentami prozy. Powstała sztuka „Gdyby rekin był ludźmi... Opera za 1 grosz”, która zgodnie z ambitnymi intencjami mirskiego Teatru Niemieckojęzycznego „Gedankenstrich” miała zadać widzowi kilka pytań, m.in. o istotę człowieczeństwa i naturę człowieka, porównanego przez Brechta do krwiożerczego rekina, i o sens ludzkich zmaganiań i dążeń. Podtytuł „opera” sugerował, że będzie to mały licealny „musical”. Te zamierzania dzięki wybitnie uzdolnionej grupie młodych artystów, udało się w pełni zrealizować. Także i tym



Zespół teatralny „Gedankenstrich” w plenerze.

biorąc udział w XII Ogólnopolskim Festiwalu Małych Form Teatralnych w Języku Niemieckim, organizowanym w tamtejszym Centrum Kultury Młodych przez Europejskie Centrum Młodzieży i Szkoły Krzysztofa Augustyniaka. Udział w tej renomowanej imprezie (obecność Steffena Möllera!), zakończona wielkim zwycięstwem mirskiej grupy teatralnej, wzbudził wśród „aktorek” miłość do tego miasta i zaowocował ciekawymi i serdecznymi kontaktami szkoły z przedstawicielami łódzkiego życia kulturalnego. Niektóre z dziewczyn zapragnęły nawet zmienić miejsce zamieszkania na korzyść Łodzi!... W październiku 2010r. gościliśmy w szkole troje łódzkich artystów, którzy zaprezentowali dwa spektakle poetyckie („Skumbrie w tomacie” K.I. Gałczyńskiego oraz wiersze Z. Herberta i W. Szymborskiej), stając się od progu wielkimi sympatykami i ambasadorami naszej szkoły.

Mając przed sobą ponowną szansę przeżycia „łódzkiej przygody”, młodzież, przygotowująca spektakl na tegoroczną edycję Festiwalu, nie szczędziła swego trudu, przeznaczając na trwające 10 tygodni próby część ferii zimowych i soboty. I tym razem sięgnięto po wielką literaturę. Scenariusz powstał bowiem z fragmentów dwóch dramatów Bertolta Brechta (1898-1956), tj. „Matki Courage i jej dzieci” oraz „Opery za trzy grosze”,

razem jury, składające się z germanistów, w tym z pracowników naukowych Uniwersytetu Łódzkiego, przyznało dla LO w Mirsku I miejsce, a także trzy nagrody indywidualne „w uznaniu osobowości scenicznej”, nagrodę rzeczową – odtwarzacz DVD oraz zaproszenie z występem na Uniwersytet Łódzki. W kategorii szkół ponadgimnazjalnych jury nie przyznało II ani III miejsca. W Festiwalu wzięło udział 16 szkół z całej Polski, razem ponad 200 uczestników.

Niezwykłą nagrodą za włożony trud w pracę nad spektaklem był dla młodzieży sam pobyt w Łodzi. Tegoroczny Festiwal odbywał się w dniach 21-22 marca br. 10-osobowa grupa młodzieży wyjechała bussem już w niedzielę 20 marca, aby móc skorzystać z kulturalnej oferty Łodzi. „Cinema City” w „Manufakturze” ze swoją propozycją zaspokoiło różne filmowe gusta.

21 marca młodzież z gitarami i wiolonczelą muzykowała przy pięknej słonecznej pogodzie przed słynną łódzką „Manufakturą”, na co zgodę wydał sam jej dyrektor. Największą atrakcją tego ogromnego kompleksu handlowo-rekreacyjno-kulturalnego, liczącego m.in. 350 sklepów i 57 restauracji, jest niezwykle

architektura; całość kompleksu znajduje się bowiem w starych halach fabrycznych przemysłu włókienniczego. Pierwszy dzień wiosny w takim niezwykle miejscu i w niepowtarzalnej atmosferze świeżo zadzierzgniętych poprzez pracę nad spektaklem wieżów przyjaźni będzie pewnie często wracał we wspomnieniach licealistów i ich nauczycieli-opiekunów.

Jeszcze jedno przeżycie tego dnia pozostanie zapewne w pamięci: „Poezja w kamienicy”, na którą grupa zaproszona została przez organizatora łódzkich spotkań poetyckich Włodzimierza Galickiego. Wiersze Czesława Miłosza czytał aktor Teatru „Nowego” w Łodzi Dymitr Hołowko, któremu akompaniował klawiszista z Teatru Muzycznego. Te comiesięczne spotkania odbywają się od czterech lat w klasztorze oo. dominikanów. Włodzimierz Galicki, tercjarz tego zakonu, autor scenariusza, wybrał do programu wiersze Miłosza, pisane w ostatnich latach życia poety, mające charakter „wielkopostnego rachunku sumienia”... Po zakończonej recytacji obydwaj panowie przedstawili licznie zebranej publiczności grupę mirskich licealistów, wspominając przy tym październikowe spotkania poetyckie w Mirsku i Świeradowie Zdroju i zachęcając wszystkich do odwiedzin Gór Izerskich. Herbata i ciasto w refektarzu oraz rozmowy z artystami były miłym zwieńczeniem tego refleksyjnego wieczoru. No i ten niezapomniany powrót pieszo przez puste o późnej porze



Licealiści z Mirska przed Manufakturą w Łodzi.

łódzkie ulice, obok odrapanych kamienic, ciemnych podwórek i przepięknie oświetlonych budynków (dawna szkoła filmowa)! Magia Łodzi...

Ostatni, trzeci, dzień pobytu w „polskim Manchesterze”, jak Łódź jest czasem nazywana, to dzień występu grupy na Festiwalu. Włodzimierz Galicki i Dymitr Hołowko przybyli do Centrum Kultury Młodych przy ul. Lokatorskiej

13 punktualnie na godz. 10.10, prze-suując swoje zawodowe obowiązki. Entuzjastyczne przyjęcie spektaklu mirskiej grupy teatralnej, niezwykle wy-soko ocenionego przez jury, nappełniło wszystkich niepohamowaną radością. I to pytanie: „Gdzie leży Mirsk?”, na które odpowiedzi udzielił Dymitr Hołówko: „Koło Świeradowa Zdroju!” „*Trwaj chwilo, jesteś piękna!*” – chciałoby się powtórzyć za Faustem! Dumni ze swojej małomiasteczkowej szkoły byłiby zapew-ne też trzej absolwenci LO w Mirsku,

obecnie studenci łódzkich uczelni: Jakub Nowicki (medycyna), Maciej Porczyński (medycyna) oraz Adrian Ananiuk (logi-styka), ale przedpołudniowe zajęcia na uczelniach nie pozwoliły im na przybycie na spektakl.

Oto skład grupy: Iga Alchimowicz, Łukasz Czczajluk, Michał Czczajluk, Szczepan Dembiński, Marta Harbich, Emil Lenik, Anna Lęba, Paulina Majkut, Katarzyna Puchalska oraz Paulina Kra-kowska (zdjęcia i technika).

W imieniu młodzieży składam ser-

deczne podziękowania Dyrekcji ZSL-G w Mirsku za umożliwienie wyjazdu, Burmistrzowi Miasta i Gminy Mirsk za pokrycie kosztów przejazdu, Radzie Ro-dziców za opłacenie noclegów, Piotrowi Czembrowskiemu za oprawę plastyczną (plakat i program przedstawienia), Beacie Nowickiej za dzielenie trudów i radości wyjazdu do Łodzi oraz wszystkim, którzy wypożyczyli kostiumy i rekwizyty oraz udzielili grupie wszelkiego wsparcia du-chowego i materialnego.

Danuta Alchimowicz

Pożegnanie „białego szaleństwa” i powitanie wiosny

Marek Wikorejczyk, znany Przewodnik Sudecki, autor licznych publika-cji o Karkonoszach i Górach Izerskich, w jednym ze swoich opracowań pisze: „O północnej stronie Gór Izerskich mamy natomiast wiadomość, że w roku 1894 pan Daniel z Mirska nad Kwisą w towarzystwie dwóch kolegów dokonuje wejścia na nartach na Stóg Izerski i dalej zjeżdża przez Polanę Izerską do Świeradowa Zdroju. Następnej zimy ten zespół odbywa wycieczkę narciarską na Jizerkę...”

fol. Bogusław Nowicki



Pożegnanie „białego szaleństwa” i powitanie wiosny.

Narciarskich eskapad ciąg dalszy... Pan Daniel ma swoich następców. Coraz więcej mieszkańców naszego uroczego miasteczka gości na stokach narciarskich, a i Polana Jakuszycka zapelnia się „Na-szymi”. W tym roku, w jubileuszowym XXXV Biegu Piastów, wzięło udział 3 biegaczy i jedna biegaczka. Jeden z narciarzy przebiegł trasę na dystansie 10 km, pozostali 26 km. I ja tam byłam... Organizator imprezy- pan Julian Goz-dowski -przygotował tym razem, z okazji jubileuszu zapewne, małą niespodziankę- najtrudniejszą z dotychczasowych tras. Początek był przyjemny – leśnym traktem dotarliśmy do Stacji Turystycznej „Orle”, a stąd ok. 6 km pod górę. Część narciarzy ze sprzętem w rękach wracała „Orla”.

Po dotarciu na szczyt trasa zaczęła się wić dookoła kolejnych szczytów. Aby osiągnąć następną kulminację, należało zjechać z poprzedniej. Oj tutaj się dzia-ło. Na trasie lód i lud! Ten ostatni ledwo podnosił się z pozycji horyzontalnej (mnie też taka przyjemność spotkała, ale przed samą metą!). Tego roku aura sprzyjała biegaczom. Promienie słońca oświetlały tablice z zapisanymi kilometrami. Jak zwykle na 15 km było najtrudniej, ale po pokonaniu kolejnych i spotkaniu roda-ków-wolontariuszy z Mirska, dobre myśli wróciły. Na ostatnim kilometrze podczas karkołomnego (dosłownie) zjazdu do mety wylądowałam na Izerskiej Ziemi. I tylko jedno miałam na uwadze, aby w miarę szybko się pozbierać i zdążyć na kwalifikacje (chodzi o zmieszczenie się w limicie czasowym). Udało się! Było warto!

Za rok kolejny bieg. Tegoroczni debiutanci- panowie Adam Szafranek i Stanisław Wojciechowski- mają pierwsze medale. Szykują się następni reprezen-tanci Miasta i Gminy Mirsk, na własne oczy widziałam, jak do ostatniego dnia tegorocznego sezonu trenowali w Jaku-szyczach.

19 marca 2011 r. Miejsce: Hala Izerska, otoczenie Schroniska „Orle”. Wystartowali. Narciarze z innej epoki. Czternasty już Bieg Retro. Tym razem wzięło udział 72 zawodników. W więk-szości to ludzie w znacnym już wieku (czytaj bez wieku). Stroje sprzed I i II wojny światowej, z lat 50 i 60 minionego stulecia. I tylko jeden element przebrania wspólny – drewniane, niepomalowane

narty z paskowymi lub sprężynowymi wiązaniami. W rękach biegaczy bambu-sowe lub drewniane kije.

Trasa biegu liczyła 3,5 km. Tyle, tylko w przełożeniu na lata, miała naj-młodsza uczestniczka. Pesel najstarszej zaczynał się liczbą trzydzieści. Organi-zatorzy imprezy zadbali o wikt i opieru-nek. Jak zwykle pan Stanisław Kornafel okazał swoje gościnne serce. W biegu uczestniczyli również Czesi. Jak co roku liczną gromadą przybyli z sąsiedniej Izer-ki i jak co roku stanęli na najwyższym podium. Bieg Retro znany jest w całej Polsce. Startowali w nim przybysze z od-ległych Tatr i Beskidu Śląskiego. Wesola gromada narciarzy i przybyłych tego dnia do Orla turystów miała możliwość pobie-siadować przy akompaniamencie czeskiej

fol. Bogusław Nowicki



Wreszcie na mecie!!!

kapeli. Europa bez granic – tak można powiedzieć o tym miejscu.

30.04-3.05 2011 r. przygód z Górami Izerskimi ciąg dalszy, czyli Majówka. Ni-niejszym mam zaszczyt zaprosić Państwa ... znów do Stacji Turystycznej „Orle”. Szczegółowy scenariusz będzie podany na plakatach.

Narciarka Izerska

Obiad z widokiem na trzy kraje

W 1958 roku miała miejsce korekta wspólnej granicy polsko-czechosłowackiej. Na mocy porozumień nasi południowi sąsiedzi mieli wobec nas tzw. dług graniczny w postaci 368,44 ha ziemi. Na mapie turystycznej w skali 1:50000 to kwadracik o dwumilimetrowym boku. Zdawałoby się, że niewiele, ale to powierzchnia 8 Watykanów! Decyzją władz Republiki Czeskiej dostaniemy teren wzdłuż granicy na odcinku między Bogatynią i Świeradowem.

Korzystając z wiosennej aury pragnę zaprosić Państwa na wyprawę w Góry Izerskie. Zdobędziemy miejsce, które przez ponad 300 lat było obiektem „walki o miedzę”. Na zachód od Stogu Izerskiego, oddzielony od niego Łącznikiem, znajduje się Smrek. To dwuwierzchołkowy szczyt (1123 i 1124 m n.p.m.), najwyższa kulminacja Wysockiego Grzbietu. Patrząc na Góry Izerskie z Mirska, wydaje się, że jest on niższy od Stogu Izerskiego (1108 m n.p.m.). Proponuję dwie wersje wycieczki. Pierwsza: wjazd koleją gondolową na Stóg Izerski, stamtąd żółtym szlakiem do Przełęczy Łącznik i dalej-zielonym, po przekroczeniu granicy, na wyższą część, uwieńczoną wspaniałą wieżą widokową. Wersja druga to oferta dla spragnionych spokoju piechurów. Dojeżdżamy do Czerniawy Zdroju, stamtąd w kierunku Nowego

Mesta. W pobliżu skrzyżowania z drogą na Pobiedną parkujemy pojazd i wędrujemy zielonym szlakiem w górę. Dotrzemy do polskiego wierzchołka. Stąd możemy dojść do wieży widokowej i o ile starczy sił, zejść niebieskim szlakiem do Nowego Mesta. Posiliwszy się w restauracji „U Namestii” (naprawdę polecam), wracamy na polską stronę.

Na Smreku przebiegała niegdyś granica między trzema majątkami: czeskim Frydlandem, śląskim Zamkiem Gryf i łżyckim Świeciem-Pobiedną. Przez wiele lat panowie owych włości toczyli „boje” o to, gdzie powinny stać tablice graniczne. Najzacieklejszymi przeciwnikami byli hr. Schafgotsch (źródła nie podają imienia) i słynny Albrecht Wallenstein. To z jego inicjatywy w jednym z najbardziej spornych miejsc przymocowano do olbrzymiego świerka

tablicę. Jako, że drzewo rosło w pobliżu „Tablicowej Skały” (formacja skalna po polskiej stronie, na mapie oznaczona jako „Płyta”), miejscowi zaczęli nazywać górę Tafelfichte (Tablicowy Smrek), a Czesi-Tabulovy Smrk. Wiek XVII i połowa XVIII obfitowały w owe graniczne spory, dopiero w 1845 roku podpisano protokół ugody pomiędzy zwaśnionymi o Smrek możnowładcami.

Po drugiej wojnie światowej przypadł nam w posiadanie niższy wierzchołek. Obecnie, w dobie wspólnoty europejskiej, snuje się w planach wizja wybudowania na czeskich stokach Smreku kompleksu narciarskiego. Wieść gminna niesła (i po polskiej i po czeskiej stronie), że z czasem powstanie duży kompleks narciarski spinający trasę kolei gondolowej z trasami po drugiej stronie granicy. Pomarzyłam sobie nieco, ale wielu mirskich narciarzy na pewno mnie zrozumie.

Przed paru laty, nieopodal Tablicowej Skały, urządziliśmy sobie rodzinny piknik. Z jeszcze małymi dziećmi podziwialiśmy uroki panoramy, jaka rozpościera się z tego miejsca. Jedliśmy niedzielny „obiad” z widokiem na trzy kraje: Polskę, Niemcy i Czechy. Zapraszam na Smrek. To podróż naprawdę nieduża, ale jakże urocza.

Beata Nowicka



SKŁAD BUDOWLANY
ul. Sikorskiego 16
Mirk

tel/fax 75 78 34 476

e-mail:

zbyt@smbkrasicy.com

Towar dostarczamy
własnym transportem
wraz z rozładunkiem

**KOMPLEKSOWA
OBSŁUGA BUDÓW**

**OD FUNDAMENTÓW PO
ŚCIANY I DACH**

**MIESZALNIK
FARB I TYNKÓW**

Najtańsze bloczki betonowe w okolicy !!!

Jak powstała Boża Góra

Podczas uroczystości inauguracyjnych, sołtys Kwieciszowic- Jörg Hans Ulrich Wegener, otrzymał wiadomość od leśnika, że hrabia podczas polowania w lesie miał wypadek, złamał nogę i leży bezradny w lesie (w 1698 roku leśniczówka znajdowała się w górnej części Kwieciszowic, miejsce to nazywano „Laiden”, czyli po polsku łąka).

Szybko załatwiono wóz i wszyscy biorący udział w imprezie, zaopatrzeni w beczkę piwa i przy dźwiękach muzyki podążyli ratować hrabiego.

Nowy sołtys, który posiadał trochę wiedzy medycznej, opatrzył nogę hrabiego i aby złagodzić ból uraczono go wspaniałym piwem. I to było najlepsze piwo, które on kiedykolwiek pił! Po kilku szklankach piwa jego smutek szybko zamienił się w radość. Umieszczono go na wozie i przy akompaniamencie wesołej muzyki ruszono przez Kwieciszowice i Proszową do Rębiszowa. Ludzie wykrzykiwali: „Viva Hrabia”, „Viva Hans Ulrich”. Stamtąd ruszono przez pola w stronę zamku Gryf.

W kilka dni później Jörg Hans Wegener został zawezwany do hrabiego. Dostał od hrabiego 2 cynowe kubki ozdobione motywami myśliwskimi i

słowami: „Myślę, że to ważny atrybut dla kwieciszowickiego miłośnika picia piwa. Jak następnym razem przyjadę na polowanie, to nie omieszkam z wami opróżnić te kufelki”.

W niedługim czasie sołtys otrzymał zlecenie zbudowania Bożej Góry. W Kwieciszowicach brakowało domów do zamieszkania, a tam na górze było mnóstwo miejsca. Drewno można było pozyskać w pobliskich lasach i w ten sposób mogli mieć później też pastwiska dla bydła. Jörg Hans Wegener zabrał się od razu do pracy, zaczynając od sporządzenia planu. Leśniczy nie był zbytnio z tego pomysłu zadowolony, widząc iż jego spokój zostanie zakłócony, ale ujrzał również korzyści z tego płynące. Postawił tylko jeden warunek, a mianowicie, że pierwszy dom zostanie wybudowany w odległości przynajmniej 50 Ruthen (180 m) od jego

leśniczówki. Na początek chodziło o 12 gospodarstw. Pnie drzew były saniami, transportowano je do Kwieciszowic, do młyna. Tam były cięte na deski i suszone tak, aby na wiosnę, po usunięciu pni można było zacząć budowę. W międzyczasie kopano studnie i kładziono fundamenty z kamienia. Zwierzęta wypłoszone hałasem pouciekały w głąb lasu.

Losowanie domów przebiegało w następujący sposób: w wiadrze pełnym piachu znajdowało się 12 różnej długości patyków. Jedno dziecko wybrane z każdej rodziny mogło z wiadra wyciągnąć patyczek. Najdłuższy patyk był dla domu leżącego najbliżej leśniczówki, drugi pod względem długości wskazywał na następny dom itd.

Budowano 6 domów jednocześnie. W lecie umieszczono na ich dachach wiechy, a jesienią wszystkie domy były już gotowe. I zdążyli na czas, ponieważ nadeszła wczesna i sroga zima, wiał przejmujący wiatr i warunki były tam dużo gorsze niż w dole w Kwieciszowicach. Tam na górze nie było gdzie się schronić przed wiatrem i dopiero wiosną można było zasadzić nowe drzewa.

Eryk Wejjs

Sieroty Sybiru - cz.4

Wreszcie na początku marca dotarliśmy do celu przeznaczenia, to jest do miejscowości (posiołek) Jol, „Leńskiego rajonu”, „Archangielskiej Oblast”. Mróz w lutym tego roku utrzymywał się w granicach -30°C. W tym rejonie, gdzie nas dowieziono, mróz był jeszcze większy, sięgał - 50 °C, a miejscowość to pusta ogromna przestrzeń.

W zimie widać było niekończący się jedynie śnieg i w oddali las. Kiedy nam powiedziano, że tu będziemy mieszkać, zjawił się jakiś komendant (NKWD), który stanął na podwyższeniu i po kolei wyczytywał po nazwisku i imieniu. Stojemy pod gołym niebem, na trzaskającym mrozie, nikt nie brał pod uwagę tego, że jesteśmy po tak wyczerpującej podróży, w takich ekstremalnych warunkach. Mama mówiła, że bardzo dobrze wiedzieli o naszej sytuacji. Następnie komendant wyczytał nakazy i zakazy oraz przewidziane kary za ich nieprzestrzeganie. Za ucieczkę grozi kara śmierci, komendant podkreślał to z naciskiem. Umieszczono nas w barakach drewnianych, w których już ktoś wcześniej mieszkał, nękały nas tu pluskwy i wszy. Baraki były zbite z okrągłaków, nawet nieokorowanych. „*Tu będziecie żyć i pracować*” wybełkotał po rusku funkcjonariusz. Byliśmy odtąd „pracownikami-niewolnikami Sowchozu. W baraku pod ścianami były prycze zbite z okrągłaków nieokorowanych. Mama się

rozplakała bardzo i mówiła: „*To tu mamy żyć w takich warunkach. Tu mamy pozostać na zawsze i nie wrócić do Ojczyzny, tam, gdzie wszystko było nasze najlepsze, bardzo drogie dla nas, dom, ogród, gospodarstwo, przyjaciele, sąsiedzi*”. Straszne to było dla nas, a szczególnie dla mamy, dorosłej osoby, zdającej sobie sprawę z tego, co nas czeka. Gdy dorosłem, lepiej zrozumiałem wszystko: naszą niedolę, płacz ciągly mamy, wszelkie jej obawy o nas, troskę o przyszłość naszą, tęsknotę za Wołyniem, za rodzinnymi Złotnikami, za rodziną tam będącą, którą pozostawiła wyjeżdżając na Wołyń. Mimo upływu czasu, to wszystko było dla mnie tak bliskie i tragiczne, że wciąż mimo woli wracałem myślą do tamtych dni - straconej naszej młodości, trudnej do wytłumaczenia tułaczki na sybirskim zesłaniu. Przykre jest to, że dziś młodzi ludzie takich tragedii ludzkich jak zesłanie na Sybir, z małymi szansami na przetrwanie, czy wręcz skazanie na zagładę - nie rozumieją. Przecież nic nikomu nie zrobiliśmy złego, tym bar-

dziej jako kilkuletnie lub kilkunastoletnie dzieci.

W dniu, w którym przywieziono nas do posiołka Jol zezwolono nam na kąpiel w tzw. rzymskiej łaźni, szybko skleconej. Ale dobre i to było dla nas, po tak ciężkiej podróży przez trzy tygodnie. Pojawił się ktoś z Sowchozu i przywiózł jakąś zupe, była ciepła, nieco nas rozgrzała. Zaraz na drugi lub trzeci dzień starszych przydzielono do wyrębu lasu, dzieci starsze do noszenia gałęzi na stertę, którą później podpalano. Jedni ścinali drzewa, składali na pryzmę, inni po sprawdzeniu przez nadzorcę ilości, wywozili nad rzekę, jeszcze inni zbijali je w tratwy, aby przy roztopach statki mogły je spławiać do Morza Białego. Młodsze dzieci pozostawały przy rodzinie, która była odpowiedzialna za nie. Rodzina pracowała, ale musiała się opiekować dziećmi. Władek miał wtedy 16 lat, przydzielono go do pracy wraz z mamą, przy wyrębie lasu, nazywano tę pracę „lesopował”, dano im walonki, kufajki i spodnie waciaki. Na głowę dano im też czapki waciaki z nausznikami. Wyposażono ich w ręczną piłę i siekiere. Tak piłą, jak i siekiera były stare i tępe, ale wyboru nie było. Obydwoje, mama i Władek, prawie od świtu do nocy ścinali drzewa w śniegu po pas.

Wspomnienia Pana Alojzego Indyka
spisał Edmund Maziarz

Przeżycia pewnej 80 - letniej mirszczanki mieszkającej dziś w Görlitz

Urodziłam się w roku 1920. W czasach hitlerowskich Spokojna Góra nad Kwisą (Friedeberg am Queis) zmienił nazwę na Spokojną Górę w Górach Izerskich (Friedeberg im Isergebirge) mimo, że znajduje się jedynie na krańcach Gór Izerskich. Mirsk był miastem liczącym ok. 3.300 mieszkańców, otoczony wioskami - Brzezinec, Giebultów, Mroczkowice i Skarbów, a ta ostatnia oddzielona od niego jedynie rzeką Kwisą.

Mirsk posiadał jeden kościół ewangelicki i jeden katolicki, także przynależne im cmentarze, jak również szkołę ewangelicką i katolicką. Przeważająca część mieszkańców była ewangelikami. Na życie handlowe składało się 10 piekarni, 9 rzeźni, kilka sklepów z towarami kolonialnymi, też i szewców, krawców, siodlarzy, kowali, fryzjerów i gospód - by wymienić tu tylko te bardziej znaczące. Na zaopatrzenie miasta pracowali gospodarze z miejskiego folwarku na Przedmieściu i zlokalizowani na innych ulicach. Wokół miasta znajdowały się duże pola dostarczające zboża, ziemniaków i paszy dla bydła. Do uprawy roli gospodarze posiadali konie i krowy. W chlewach stały świny, na podwórkach gdały kury. Mieszkańcy wymienionych tu wiosek żyli głównie z rolnictwa, byli gospodarzami po części prowadzącymi duże gospodarstwa. We wspomnianym Skarbkowie znajduje się przędzalnia. Dzierżawca, którego znałam za moich czasów, nazywał się Eckhold. Miejsca pracy mieszkańcom zapewniała skarbkowska przędzalnia, etykieciarnia firmy Mandig, drukarnia Dreslera, która drukowała naszą gazetę „Goniec z Doliny Kwisy” („Bote aus dem Queistale”). Nie możemy pominąć tu tartaku, elektrowni i mleczarni. W Mirsku znajdował się szpital oraz ewangelicki dom gminny. Niektórzy mirszczanie, głównie kobiety, dojeżdżali do pracy do Giebultowa oraz Gryfowa, do zakładów „Gryf” i fabryki Winklera.

Nasz mały dworzec kolejowy był naszym oknem na świat. Tu dochodziło codziennie wiele pociągów z Gryfowa, które jechały dalej przez Pobiedną/Unięcice do Jindřichovic pod Smrkem w Czechach. Kto pragnął dojechać do Świeradowa Zdroju musiał się przesiąść w Mirsku do Kolei Gór Izerskich. Pociągi za każdym razem przewoziły wielu kuracjuszy, najczęściej z Berlina.

Mój okres nauki, 1926 - 1934, przeminał. Dużym wydarzeniem w roku 1930 była nasza przeprowadzka z mieszkania na ul. Gryfowskiej do 12 rodzinnego budynku wybudowanego na krańcu miasta przy ul. Hindenburga 31, zwanym później Domem Państwowym, gdzie my, dzieci, pod wiekowymi dębami i kasztanami, mieliśmy wspólny plac zabaw. W roku

1933 doszło do przejęcia władzy przez Hitlera. W pamięci moich szkolnych lat pozostały mi jeszcze wycieczki w góry, do ruiny zamku w Kotlinie, do schroniska na Stogu Izerskim i na Smrek. W najbliższą okolicę wędrowaliśmy do Złotnik na zaporę lub na ruiny zamku Gryf, gdzie hrabia Schaffgotsch w pałacu wraz ze swoją rodziną posiadał swoją siedzibę. Wiele czasu spędzał on w swoim pałacu w Cieplicach Zdroju. Na wspomnienie zasługują znane i powszechnie lubiane mirskie Święta Dziecka, które odbywały się na wakacjach.

Kiedy do władzy doszedł Hitler, to wprowadził Państwową Służbę Pracy. Wielu moich kolegów i koleżanek z klasy, już 18- latków, zostało do niej zaciągniętych lub zgłaszało się do niej ochotniczo na 6 miesięcy. W tych latach wybudowana została Droga Sudecka, prowadząca ze Świeradowa Zdroju do Szklarskiej Poręby. Czego jeszcze nie wiedzieliśmy, wszystko to służyło przygotowaniom do wojny. Gdy w roku 1939 wybuchła wojna, poborowych mężczyzn zaciągnięto (do wojska), a ich miejsca musiały zająć kobiety. Przez nasze małe miasto, gdzie każdy znał każdego, przeszło wiele smutku i żałoby. Wiadomości o wziętych do niewoli lub zaginionych, ojcach lub synach, były tematem codziennych rozmów. W styczniu 1945 poczęli przybywać tu pierwsi uciekinierzy, częściowo w kolumnach wozów, ale również i koleją - z terenów Górnego Śląska, również z Wrocławia i jego okolic. Byliśmy wstrząśnięci. Kto tylko mógł, przyjmował do siebie tych ludzi z ich dobytkiem. My także przyjęliśmy do siebie pewną rodzinę - matkę z córką i jej 3 dzieci, z których najmłodsze było niemowlęciem. Po kilku tygodniach ci uciekinierzy otransportowani zostali do Sudetenlandu (przez Pobiedną do Noveho Mesta pod Smrkem i dalej - przyp. EB). Front zbliżał się coraz bardziej - był już pod Lubaniem, mieszkańcom Gryfowa nakazano porzucić miasto i tak żyliśmy od lutego 45 do końca wojny 8 maja z jeszcze jedną matką, jej córką i jej dzieckiem.

7 maja 1945 my mirszczanie otrzymaliśmy zarządzenie od władz, aby opuścić do wieczora miasto - front zbliżał się coraz

bardziej i Mirsk zmuszony został do obrony. Wieczorem jeszcze wysadzono mosty na Kwisie. Jaki imbecylizm! Mieszkańcy wraz z uciekinierami pakowali jedynie najniezbędniejsze rzeczy na małe wózki drabiniaste i ciągnęli do kolejnych wiosek w góry. Również i my, moi rodzice, moja siostra i ja z naszymi 2 uciekinierami, porzuciliśmy nasze mieszkanie i wyruszyliśmy w drogę. W Wolimierz u naszych krewnych znaleźliśmy nocleg. Następnego ranka, 8 maja 1945, z ustnej propagandy dowiedzieliśmy się, że skończyła się wojna. Ciężar spadł nam z serca, lecz co teraz będzie? Postanowiliśmy natychmiast powrócić w nasze rodzinne strony. Nasze miasto przez wojnę zostało oszczędzone. Front tu nie dotarł. Po drodze spotykaliśmy żołnierzy rosyjskich, którzy oskubali nas z zegarków; bliżej Mirska nagabywali nas coraz rzadziej. Słyszeliśmy o plądunkach i gwałtach, ale głównie po wioskach.

Kilka dni później otrzymaliśmy polecenie opuszczenia naszego mieszkania w Domu Państwowym, który miał być zaadoptowany na lazaret. Mój ojciec pracował od lat 30- tych w elektrowni. Tam udaliśmy się na poddasze, gdzie znaleźliśmy swój kąpiel. W mieście wiele willi zwolnionych musiało być dla rosyjskich oficerów. Ponieważ z lazaretu nic nie wyszło, po kilku dniach mogliśmy powrócić do naszego mieszkania; cały dom był niezamieszkały. W naszym mieszkaniu nie znaleźliśmy niczego, a nasz rozkładany stół znaleźliśmy później na skraju miejskiego lasu, gdzie obozowali rosyjscy żołnierze.

24 czerwca 1945 roku przemaszerowali Polacy. Natychmiast rozeszła się wieść lotem błyskawicy, że my Niemcy musimy stąd udać się za Nysę, a te tereny należą teraz do Polski. Uderzyło to w nas jak piorun z jasnego nieba, nie chcieliśmy w to uwierzyć. Tego dnia pierwsi Niemcy byli samowolnie wyrzuceni ze swych domów i wypędzeni za Nysę. Tego dnia i my też musieliśmy opuścić swoje mieszkanie i udaliśmy się do elektrowni. Radio i gazety jeszcze mieliśmy, co nieco wiedzieliśmy o szerokim świecie. Wszystkie radia i rowery musieliśmy zaraz po zakończeniu wojny oddać. W hotelu „Czarny orzeł” („Zum Schwarzen Adler”, później tzw. sala miejska - przyp. EB) leżały one rozrzucone w nieładzie.

Po zakończeniu wojny Friedeberg przemianowano na Spokojną Górę, lecz na krótko, bo później na Mirsk. Od 1 lipca 1945 powstał tu polski zarząd.

Ch. D.(reßler)

Oprac. Eugeniusz Braniewski

Mirsk znany, a nieznany

W granicach Mirska, w kierunku północno wschodnim znajduje się Góra Marcina (zwana też Marcówką lub Górą Marcową) o wysokości 387 m. n.p.m. To niepozorne wzniesienie ma swoją bogatą historię, o której warto opowiedzieć.

Pierwszy wzmiankowany obóz na Górze Marcowej był związany z II wojną śląską, pomiędzy Austrią Habsburgów i Prusami Hohenzollernów. 31 października 1745 roku w nocy, około pierwszej, 100 austriackich huzarów nadciągnęło od strony Giebułtowa, uczynili sobie postój koło cegielnianych szop (okolice dzisiejszego przejazdu kolejowego należały do nieistniejącej już cegielni), a o świcie cofnęli się do zabudowań cegielni. Dopiero rano o siódmej potwierdzono ich obecność i powiadomiono zamek Gryf, gdzie wystrzelono z działa na znak alarmu, aby ostrzec całą okolicę. Wysłano również meldunek do komendy w Cieplicach. Austriacy w tym czasie zaczęli z Mirska ściągać furaże (innymi słowy plądrować miasto). Około dziesiątej zaczęli się wycofywać, gdyż nadciągały szybko posiłki znajdujące się w pobliżu. Pościg za oddziałem austriackim prowadzono do granicy z Saksonią, niezbyt daleko, bowiem przebiegała ona na rzeczce Łużyca, przed Giebułtowie. Oddziały pruskie zawróciły, przeszły przez Mirsk i rozlokowały się na biwaku pod Górą Marcową, a wieczorem odmaszerowały do swoich kwater.

Najbardziej znany jest epizod związany z okresem napoleońskim. Od 22 czerwca 1813 roku w Mirsku obozowali wówczas żołnierze francuscy z 72, 79 i 102 regimentu piechoty, Neapolitańczycy z 5 regimentu oraz Włosi z regimentów 4 i 16. Wszyscy oni podlegali rozkazom generała dywizji Le Dru. W Skarbkowie u pani Kittelmannowej kwaterował marszałek Francji Macdonald (walczył później w bitwie pod Kaczawą i pod Lipskiem, gdzie wraz z ks. Józefem Poniatowskim osłaniali odwrót armii francuskiej). Na zamku Gryf stacjonowała brygada generała Frassineta. Ze względu na utrzymanie dyscypliny i planowany dłuższy postój został na naszej Marcówce zbudowany obóz dla czterech regimentów, które stały w mieście i najbliższej okolicy. Zbudowanych zostało 275 baraków z desek. Na budowę jednego baraku szło 2-3 kop desek i około 20 kop gwoździ. Sam koszt cieśli i stolarzy wyniósł 125 talarów 8 groszy. Gotowy obóz podobno pięknie wyglądał. Przed każdym barakiem zasadzono dwa młode świerki, a przed barakami oficerskimi urządzone zostały ogródki kwiatowe. Na szczycie góry stał barak komendanta. Widok tego obozu znajduje się na jednym

z najstarszych obrazów związanym z naszym miastem, litografii z 1813 roku, która znajduje się w kronice miasta autorstwa Bergemanna.

Obóz dla artylerzystów stanął w Skarbkowie na folwarku. Składał się z 21 baraków - tu też stało 20 dział i haubic oraz 40 wozów z prochem i amunicją. Obsługa wozów i koni kwaterowała nadal po domach prywatnych.

1 lipca marszałek Macdonald urządził przed głównym obozem paradę wojskową, po której odbyła się uroczysta biesiada w specjalnie do tego celu wybudowanym baraku w ogrodzie Kittelmannna w Skarbkowie. W biesiadzie tej wzięli udział goście z batalionu kwaterującego w Rzęsinach, którzy wcześniej przybyli do Mirska. Po parady wojskowej marszałek Macdonald przybył do miasta, zwiedził szpital, aptekę polową oraz kuchnię szpitalną. Te odwiedziny kosztowały kasę miejską 100 talarów.

10 sierpnia obchodzono uroczyste dzień urodzin Napoleona. Uroczystości zostały przyśpieszone, ponieważ dzień urodzin przypadał dopiero 15 sierpnia, ale 16-tego kończyło się zawieszenie broni i to zaważyło na przesunięciu terminu.

W Mirsku dzień ten obchodzono bardzo uroczystie. W obozie na Górze Marcowej zbudowano specjalnie ołtarz, przy którym proboszcz parafii musiał odprawić mszę św. oraz nabożeństwo połączone z odśpiewaniem Te Deum. Wzięli w nim udział generałowie, pułkownicy i wszelkiego rodzaju oficerowie oraz cała załoga obozu. Początek nabożeństwa obwieściły dzwony kościelne oraz honorowa salwa artyleryjska.

O 17-tej zaproszono starszyznę wojskową oraz przedstawicieli miasta: burmistrza Georgy, sędziego Strehle, byłego burmistrza Engemanna, kupca Richtera, aptekarza Myliusza oraz proboszcza i pastora na uroczystą biesiadę, która odbyła się w Skarbkowie.

Obóz na tę uroczystość był pięknie przystrojony wieńcami i kolorowymi lampionami. Nad kwaterą generała rozpięty był duży, podświetlony transparent z literą „N”.

16 sierpnia widać było, że Francuzi

spodziewają się znowu początku dalszej wojny. Dali to poznać przez wzmocnienie rekwizycji oraz czujności (pozaciągali nowe posterunki wartownicze). 17 sierpnia o godz. 7 rano francuska załoga zaczęła powoli opuszczać obóz oraz miasto. W czasie ewakuacji zabrane zostało wszystko, co tylko się dało, pozostało zaledwie 12 ton soli i trochę siewki. Z magazynu chlebowego zabrano wszystek chleb, a piechurzy nabijali go sobie na bagnety i w ten sposób nieśli.

Od 6 do 8 września władze dominialne na Gryfie sprzedawały francuskie baraki na Górze Marcowej. Koszt jednego baraku wynosił od 6 do 12, wyjątkowo nawet 18 talarów. Cała suma ze sprzedaży dała kwotę 1 781 talarów.

O Marcówce ponownie pojawiają się wzmianki w 1887 r., kiedy to Karkonoskie Towarzystwo zbudowało wieżę widokową obok schroniska i na cześć imienia grafini



Ansicht des französischen Lagers bei Friedeberg 1813
Litografia z 1813 r. przedstawiająca obóz wojsk napoleońskich na Górze Marcowej w Mirsku

nazwano ją „Wieża Maryi”.

Z relacji tej wynika, że już po wojnach napoleońskich na górze tej działało schronisko. Nie udało mi się ustalić ani tego od kiedy ono istniało, ani okoliczności zakończenia działalności. Podobny problem miałem z wieżą widokową. Przypuszczam jedynie, że nie funkcjonowały one już w 1914 roku, albowiem wtedy planowano umieszczenie na tej górze wieży ciśnień, ostatecznie zrezygnowano z tego pomysłu na rzecz obecnej lokalizacji. Nie pozostawiono górki na długo zupełnie niewykorzystanej. W 1922 roku spółka akcyjna zakładów w Skarbkowie zbudowała tego roku tu („na barakach” - to określenie z tego okresu, odżyło na krótko po II wojnie światowej) domki dla robotników istniejące do dziś (są one, jak widać, nieomal wiekowe). Zbudowanych zostało 5 domków, każdy miał niewielki ogródek.

Z czasów II wojny światowej pochodzi bardziej mroczny epizod Marcówki. Na jej stoku był ulokowany obóz, początkowo

Organizacji Schmelta. Był on utworzony w czerwcu 1943 roku, w lipcu 1944 roku został włączony w skład filii KL Gross-Rosen. Oficjalnie przejęcie obozu nastąpiło 4 września, kiedy nadano 150 więźniarkom numery obozowe od 56051-56100 do 56201-56300). Więziono tu do 250 kobiet narodowości żydowskiej z Zagłębia Dąbrowskiego. Pracowały one dla firm AEG (Allgemeine Elektrizitäts-Gesellschaft) oraz Teichgraber (późniejsze ZPL). W Muzeum Gross-Rosen widnieje on na mapie obozów jako Bersdorf-Friedeberg, możliwe, że przez nie do końca prawidłowy zapis w relacji więźniarki tego obozu,

Grety Majzels (Röhrsdorf zostało zapisane jako Bersdorf, lecz to jedynie moje przypuszczenia). Pozostałości fundamentów są nadal widoczne, zwłaszcza teraz, gdy nie ma wysokiej trawy. Obóz ten został zlikwidowany z końcem stycznia lub początkiem lutego 1945 r. Więźniarki ewakuowano pieszo do AL Kratzau (Chrastawa w Czechach) - również filii Gross-Rosen. Baraki obozowe służyły po wojnie jako magazyn części zamiennych, głównie elektrycznych. Zostały rozebrane w latach 50. Jeszcze jednym faktem jest to, że na górze było stanowisko dział przeciwlotniczych, prawdopodobnie słynnych „acht koma acht”, 88

mm. Żołnierze z obsługi kontaktowali się z więźniarkami, możliwe, że nosili się z zamiarem dezercji.

Tyle o historii Góry Marcowej. Przez lata było to ulubione miejsce spacerów mieszkańców Mirska. Będąc tam, można zauważyć pozostałości ścieżek, ławeczek... Ciekaw jestem, czy przywrócenie alejek, jakieś drobne wyposażenie w ławki, usunięcie chaszczy wpłynęłoby na powrót spacerowiczów. Jaka będzie jej przyszłość – zobaczymy. Wiem, że był pomysł wybudowania na niej Zajazdu Napoleońskiego – według mnie znakomity.

Feliks Chojnacki

Fundusz sołecki i 4 miliony do podziału

W dniu 30.03.2011 r. odbyła się kolejna już w tym roku IV sesja Rady Miejskiej Gminy Mirsk. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie dwie uchwały, które wywołały burzliwe dyskusje radnych.

I Fundusz sołecki

Uchwała o utworzeniu bądź nie utworzeniu takiego funduszu miała zapaść wcześniej, jednak grupa radnych zaproponowała, aby te decyzję przesunąć do czasu, aż zostaną wybrani nowi sołtysi (sołtysi i rady sołeckie wybierani są co 4 lata podobnie jak radni) i rada te propozycje przyjęła. Po ukonstytuowaniu się władz wiejskich (sołtysi i rady sołeckie) miało dojść do wspólnego spotkania nowo wybranych sołtysów, burmistrza miasta i radnych, na którym rozważono by wszystkie korzyści i zagrożenia związane z utworzeniem funduszu sołeckiego, a na najbliższej sesji rada podjęłaby uchwałę w oparciu o opinie samych zainteresowanych tj. sołtysów i oczywiście mieszkańców wsi. Radni niestety nie otrzymali na to spotkanie zaproszenia. Spotkanie poprowadził pan Burmistrz A. Jasiński, który funkcjonowanie funduszu przedstawił zebranym w taki sposób, aby uwypuklić raczej negatywne strony tego projektu. Tak przedstawia to przynajmniej część obecnych na zebraniu osób. Podobne stanowisko zajął na późniejszej sesji, więcej czasu poświęcając negatywom niż pozytywom.

Czym jest ten fundusz i po co o nim pisać? Jak były kierowane środki finansowe na wieś, zanim został utworzony fundusz? Spróbujemy to wyjaśnić czytelnikom.

Do tej pory było tak. W budżecie gminy wyodrębniano środki na funkcjonowanie świetlic wiejskich, których lwia część pochłaniały koszty ich utrzymania. Na rzeczywistą działalność zostawało niewiele. Do tego dochodziły niewielkie kwoty z przeznaczeniem na działalność rad sołeckich. Jeżeli sołtysi, rady sołeckie lub po prostu mieszkańcy wsi chcieliby otrzymać

więcej pieniędzy na jakiś cel, musieli udać się do sponsorów lub najczęściej do burmistrza i uzyskać jego aprobatę. On był osobą rozstrzygającą, któremu sołtysowi pieniądze dać i ile ich dać. Sołtys otrzymując upoważnienie na jakąś kwotę, robił zakupy i zanosił rachunki do urzędu. Korzyść z tego była taka, że jeden mógł według uznania dostać więcej lub kilka razy w roku, a inny mógł dostać niewiele lub nic nie dostać. Dysponentami tych pieniędzy byli burmistrz i sołtys. Mniej do powiedzenia mogła mieć rada sołecka i społeczność wsi. Plusy „dodatnie” były takie, że burmistrz mógł wspierać dobre inicjatywy, ale mógł również dawać nie tam, gdzie była potrzeba ale za to był „swój” sołtys. Taki stan rzeczy mógł tworzyć się atmosferę sprzyjającą klientelizmowi.

Klientelizm to układ nieformalnych zależności, w ramach których decydują (np. wójt lub burmistrz) rozstrzyga „opiekę” nad osobą lub grupą społeczną w zamian za poparcie polityczne (np. za głosy wyborcze). Zjawiskami pokrewnymi są nepotyzm i kumoterstwo.

Nie znaczy to, że dochodzi do tego zawsze i wszędzie. Mówimy tu o okolicznościach sprzyjających temu zjawisku.

Oczywiście nie są to jedyne pieniądze trafiające na wieś z budżetu. Docierają tam również środki zapisane w innym dziale na remonty świetlic wiejskich, budowę i remonty dróg, przepustów, budowę i utrzymanie oświetlenia i inne.

Jak może być z funduszem sołeckim? Ustawa z dnia 2 lutego 2009 roku proponuje zmianę tego stanu rzeczy. Daje radnym możliwość wyodrębnienia i zapisania w budżecie gminy środków w taki sposób, aby uniknąć uznaniowości. Ich wysokość

wylicza się je według wzoru, w którym bierze się pod uwagę liczbę mieszkańców danego sołectwa, dochody gminy, liczbę mieszkańców całej gminy. Wyliczenie jest dość skomplikowane, ale jednakowe dla wszystkich wsi w całej Polsce, więc nie będziemy wchodzić w szczegóły. Gmina, która prawidłowo wykorzystwała środki funduszu sołeckiego otrzymuje z budżetu państwa zwrot w wysokości (wg innego wyliczenia) 30%, 20% lub 10% wykonanych wydatków.

Jakie kroki należy wykonać, aby móc uruchomić fundusz sołecki?

1. Rada musi podjąć uchwałę o jego utworzeniu tj. zabezpieczeniu środków w budżecie (w tym wypadku dotyczy to 2012 r.)
2. Sołectwo powinno zgłosić do burmistrza lub wójta wniosek.

Wniosek danego sołectwa uchwała zebranie wiejskie z inicjatywy sołtysa, rady sołeckiej lub co najmniej 15 pełnoletnich mieszkańców sołectwa. Powinien zawierać zapis/plan przedsięwzięć do realizacji na terenie danego sołectwa (w ramach przewidzianej sumy) wraz z oszacowaniem kosztów i uzasadnieniem.

3. Następnie do 30 września roku poprzedzającego rok budżetowy (tj. w naszym przypadku do 30.09.2011 r.) powinien trafić na biurko pana burmistrza.

W wypadku odmowy istnieje procedura odwoławcza, która jest szczegółowo opisana w ustawie o funduszu sołeckim.

W trakcie sesji rozwinęła się dyskusja, w której pojawiły się głosy za utworzeniem funduszu. Były też głosy przeciwnie. Bardzo rzeczowo ze znajomością problemu wypowiedział się sołtys Rębiszowa, pan Piotr Cybulski, który zachęcał radnych do ustanowienia funduszu, w podobnym tonie zabrzmiała wypowiedź pana Romualda Ledziona- sołtysa Giebułtowa. Część sołtysów obawiała się tego, że fundusz może poróżnić społeczność wiejską, to znaczy trudno będzie uzyskać zgodę, co do wykorzystania tych środków w taki sposób, aby

zadowolić każdego.

Burmistrz A. Jasiński namawiał, aby nie tworzyć funduszu, ponieważ rozproszy się pieniądze i nie będzie ich można skoncentrować na jednym konkretnym zadaniu.

Autor artykułu zachęcał do większej odwagi, przyjęcia uchwały o utworzeniu funduszu i potraktowaniu tego jako pilotażu. Jeżeli się sprawdzi to będziemy go kontynuować, jeżeli nie, to z niego w przyszłym roku zrezygnujemy. Najważniejsze jest to, że rada przyjmując uchwałę o utworzeniu funduszu otwiera tylko drogę chętnym do korzystania z niego, nikogo nie zmuszając do uczestniczenia w tym przedsięwzięciu. Jeżeli któryś sołtys lub rada sołecka nie będzie chciała z niego skorzystać, to może dalej pracować według starych zasad.

Następnie rada przystąpiła do głosowania, w którym nieznaczoną ilością głosów zdecydowano o utworzeniu funduszu sołeckiego w 2012 r.

II. Podział nadwyżki budżetowej

Ten temat wywołał również dość ważką dyskusję, ponieważ do budżetu niespodziewanie wpłynęły 3.753.975,79 zł. Były to pieniądze od masy upadłościowej firmy Maxer za zajęcie pasa drogowego w czasie budowy kanalizacji. Gmina ubiegała się co prawda od kilku lat o te środki, ale chętnych do wyciągnięcia zaległych pieniędzy od Maxera było wielu i to takich, którzy mieli pierwszeństwo.

Oficjalną informację o wysokości tej kwoty radni otrzymali 23.03.2011 r. Sesja została zwołana na 30.03.2011r. Mieli więc 1 tydzień, aby zastanowić się nad propozycjami burmistrza. Liczyli na to, że w takiej nadzwyczajnej sytuacji przewodniczący Rady pan Piotr Konsur zwoła wspólne posiedzenie Komisji Stałych, na którym przedyskutujemy ten ważny temat. Nie doczekaliśmy się tego i na szybko zostały zwołane poszczególne komisje. W

czasie posiedzenia Komisji Rozwoju został przedstawiony i przegłosowany wniosek, aby część środków, które muszą (np. ze względu na terminy składania wniosków do instytucji finansujących) być szybko zatwierdzone rozpatrzyć teraz, a pozostałe przemyśleć, przedyskutować wspólnie i podjąć decyzję o ich rozdysponowaniu na nadzwyczajnej sesji za 2 tygodnie. Nie powinno być tak, że decyzje o wydaniu ok. 4 mln. złotych podejmuje się na chybcika, bez głębszego zastanowienia i rozważenia. Pan burmistrz nie odniósł się do tej wypowiedzi ze zrozumieniem. Powiedział, że oczekiwał na zaproszenia od przewodniczących niektórych komisji i takiego nie otrzymał. Nie chciał przyjąć do wiadomości tego, że nawet gdyby był na wszystkich komisjach i omówiłby swoje propozycje to i tak czas na podjęcie decyzji przez radnych na wydanie takiej ogromnej sumy był stanowczo za krótki. W odpowiedzi stwierdził, że on zna bardzo dobrze potrzeby gminy i dla niego rozdysponowanie takiej kwoty nie stanowi problemu. Wynika z tego, że ci, którzy się domagają przesunięcia podjęcia decyzji o wydatkowaniu 4 mln zł w ciągu niespełna 7 dni to tych potrzeb nie znają, co oczywiście jest nieprawdą. Chodziło o to, aby radni mieli trochę czasu na wspólne porozumienie się i znalezienie, na drodze kompromisu, zadowalającego wszystkich rozwiązania.

Teraz z perspektywy czasu wygląda na to, że było to działanie celowe, oczywiście w majestacie prawa. Wystarczyło „rzucić” ok. 4 mln. zł do podziału, zaproponować 30 celów do realizacji i patrzeć jak radni pod ciśnieniem niedostatku czasu i emocji będą się o nie kłócić. Tak się niestety częściowo stało. Rozsądna propozycja Komisji Rozwoju przesunięcia o 2 tygodnie dyskusji nie znalazła poparcia u większości. Projekt uchwały przeszedł w głosowaniu w niezmienionej formie.

Ja osobiście nadal nie jestem przekonany czy straż miejskiej potrzebny jest nowy samochód za 80.000,00 zł. i czy zamiast wydawać 200.000, 00 zł na remont dachu i elewacji Sali Miejskiej nie powinno się zabrać środków z rewitalizacji bloków, w których mieszka m.in. Pan Burmistrz i przeznaczyć je właśnie na salę?

„Rewitalizacja” bloków ma wynieść ok. 400.000,00 zł. Zostałoby jeszcze drugie tyle, żeby przeznaczyć na remont rynku, który powinien być wizytówką miasta. Argument jest zasadny tym bardziej, że dokumentacja dotycząca rewitalizacji w została cofnięta z Urzędu Marszałkowskiego do poprawki jako niekompletna.

III. Stowarzyszenia i organizacje społeczne działające na terenie gminy Mirsk

Punkt 2 VI sesji Rady Miejskiej Gminy Mirsk poświęcony organizacjom i stowarzyszeniom działającym na naszym terenie.

Spotkanie miało charakter informacyjny. Wypowiadali się kolejno prezesi i przedstawiciele organizacji informując o swoich sukcesach i problemach, a także zamierzeniach na przyszłość. Zgłaszane też były konkretne wnioski. Warto wymienić kilka z nich:

1. Utworzenie stanowiska / instytucji rzecznika do spraw osób niepełnosprawnych,
2. Utworzenie we współpracy z sąsiednimi gminami ośrodka pobytu dziennego dla osób niepełnosprawnych,
3. Wyeksponowanie w łatwo dostępny dla internauty sposób na stronach internetowych urzędu stowarzyszeń działających na terenie naszej gminy.

Szkoda, że nie wydelegowano z mirskiego urzędu merytorycznego pracownika na to spotkanie, który w zakresie swoich obowiązków ma wpisaną współpracę ze stowarzyszeniami i organizacjami.

Bogusław Nowicki

Sprostowanie do artykułu: „Nie odejmuje się gazu, gdy chce się podjechać pod górę”

W związku z artykułem zamieszczonym w 22 numerze „Izerów”, pragniemy poinformować naszych Czytelników, że do tekstu wkraśl się błąd. Otóż podana została informacja dotycząca głosowania nad jednym wariantem wysokości uposażenia Burmistrza (9915,00 zł), nieumyślnie natomiast pominięte zostały informacje dotyczące głosowania nad wariantem drugim (10930,00 zł) w czasie III Sesji Rady Miejskiej Gminy Mirsk.

Radni otrzymali projekt uchwały, w którym proponowano uposażenie burmistrza w wysokości 10930,00 zł.

Klub Izerska Wspólnota Samorządowa

złożył wniosek, w którym zaproponował niższe uposażenie w wysokości 9915,00 zł.

W głosowaniach imiennych najpierw radni głosowali nad wnioskiem Komisji Rozwoju z uposażeniem burmistrza w wysokości **9915,00 zł**:

„za” głosowali: Antoni Alchimowicz, Stanisław Babik, Bartosz Baszak, Wojciech Firek, Bogusław Nowicki, Zbigniew Puchalski,

„przeciw” głosowali: Maciej Domin, Ryszard Hnydyszyn, Maria Karatysz, Piotr Konsur, Janusz Machulak, Tadeusz Pindel.

Od głosu wstrzymali się: Vangel Kiricov, Tadeusz Przybylski, Danuta Warzybok.

W drugim głosowaniu dotyczącym uposażenia Burmistrza w wysokości **10930,00 zł**:

„za” głosowali: Maciej Domin, Ryszard Hnydyszyn, Maria Karatysz, Piotr Konsur, Janusz Machulak, Tadeusz Pindel, Tadeusz Przybylski, Danuta Warzybok,

„przeciw” głosowali: Antoni Alchimowicz, Stanisław Babik, Bartosz Baszak, Wojciech Firek, Bogusław Nowicki, Zbigniew Puchalski.

Od głosu wstrzymał się radny Vangel

Kiricov.

Uchwała dotycząca uposażenia Burmistrza w wysokości 10930,00 zł została przyjęta 8 głosami „za”, 6 głosami „przeciw” przy 1 głosie wstrzymującym się.

Przepraszam wszystkich za podanie

niepełnej informacji. Więcej szczegółów dotyczących tego głosowania i przebiegu Sesji można znaleźć na stronie internetowej www.mirsk.pl w zakładce Władze-Rada Miejska Gminy Mirsk-Protokoły z sesji Rady Miejskiej Gminy Mirsk.

Antoni Alchimowicz

Lepszy rydz niż nic!

Z wielką niecierpliwością oczekiwałem jakiegokolwiek prasowego odniesienia się do mojej grudniowej publikacji na temat „samorządowej kampanii wyborczej” osób bezpośrednio zainteresowanych. Mijały dni, tygodnie, a nawet miesiące. Coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że mój artykuł nie odniósł spodziewanego i zamierzonego skutku. Aż tu nagle, niespodziewanie, w lutowym numerze „Więści Mirska” pojawiła się pierwsza jaskółka nadziei na merytoryczną i publiczną debatę na temat odległej już w czasie, ale budzącej do dzisiaj emocje kampanii samorządowej.

Zastanawiający jest fakt, dlaczego tekst ten ukazał się właśnie na łamach „Więści Mirska”, a nie jak to było w przypadku mojej publikacji, w „Izerach”. Byłaby to według mnie logiczna konsekwencja, odniesienie się do grudniowego artykułu.

Jaskółką tą okazał się krótki, ale jakże wyjątkowo złośliwy w swojej wymowie tekst autorstwa kandydata na radnego Komitetu Wyborczego Aktywny Samorząd, Pana Andrzeja Tartaka, który dokonał niezwykle „wnikliwej i dogłębnej” analizy oceny mojego tekstu na temat kampanii samorządowej na terenie Gminy Mirsk. Pokusił się nawet o ocenę mojej pracy w Radzie Miasta i Gminy Mirsk już na samym jej starcie. Na samym początku nasuwa się mnóstwo pytań. Czym kierował się autor, pisząc te słowa? Co chciał w ten sposób osiągnąć? Komu zaimponować? Czyżby to powyborcza trauma i zwykła ludzka zawiść i zazdrość? A może rodzaj odwetu za przegrane wybory? Ocenę tego pozostawiam czytelnikom.

Autor publikacji w swoich rozważaniach posługuje się informacjami niezgodnymi ze stanem faktycznym i tym samym wprowadza czytelników w błąd. Po pierwsze nie jest prawdą, że brałem udział we wszystkich spotkaniach sołeckich i nie zabierałem głosu. Po drugie moją intencją nie było „cyniczne” obrażanie kandydatki na stanowisko Burmistrza Pani Małgorzaty Krasickiej. Stwierdziłem tylko, że nie brała aktywnego i merytorycznego udziału w debatach choćby z kandydatem Izerskiej Wspólnoty Samorządowej, nie wnosząc tym samym nowej jakości jako kandydat na Burmistrza Miasta i Gminy Mirsk. W moim przekonaniu bardzo ważnej i odpowiedzialnej funkcji. Jeśli chodzi o moje przedwyborcze dokonania i wkład w debatę

publiczną to był on adekwatny do mojego doświadczenia samorządowego, ale na pewno nie mniej aktywny w porównaniu do mojego kontrkandydata, który ograniczył się jedynie do krzyczących z witryn i wystaw sklepowych kolorowych plakatów. Nie przypominam sobie także „świeżości, polotu i pełnych merytorycznej treści pytań” do kandydata na Burmistrza Pana Wojciechowskiego, którymi zasypywałby mój jakże doświadczony w sprawach samorządowych przeciwnik. Według oceny Pana Tartaka spotkanie przedwyborcze w Sali Miejskiej było „ciekawe, a chwilami nawet śmieszne”. Moim zdaniem było wręcz żenujące i niesmaczne, zwłaszcza wtedy, kiedy nasi przeciwnicy dotykali spraw rodzinnych i prywatnych naszych kandydatów na radnych. Gołym okiem widać, że reprezentujemy całkowicie skrajne systemy wartości i radykalnie różnimy się w ocenie tamtej sytuacji.

Być może zawodzi mnie pamięć, ale nie przypominam sobie za bardzo, aby Pan Tartak zaszczycił swoją obecnością mieszkańców sołectwa na przedwyborczym spotkaniu w Giebułtowie i skąd ma wiedzę na temat przebiegu debaty, skoro go tam nie było. Pytania nasuwają się same, ale chyba nie o to chodzi. Autor tekstu formułuje wiele zarzutów pod moim adresem. Twierdzi, że jestem bierny i milczę na sesjach Rady Miejskiej. Nie wystarczy mówić do rzeczy, ale należy mówić do ludzi i wsłuchiwać się w ich głosy i oczekiwania. Właśnie taką filozofią kieruję się w pracy społecznej. Jak mówi polskie przysłowie: „*Mowa jest srebrem, a milczenie złotem*”. Bardzo się cieszę, że z tak wielką pasją, „z zapartym tchem i dreszczem emocji” ktoś śledzi moje poczynania jako radnego, skwapliwie doszukując się moich wystąpień i interpelacji,

czytając protokoły z poszczególnych sesji. W tym miejscu odsyłam do protokołów z komisji rozwoju i rewizyjnej, które znajdują się w biurze Rady Miejskiej. Tam otrzymać można pełną informację na mój temat. Niestety z wielkim smutkiem i żalem muszę poinformować mojego konkurenta, że nie są one publikowane na stronie bip.mirsk.pl zakładka prawo lokalne.

W tym miejscu pragnę podziękować mojemu recenzentowi za uznanie dla mojego wyniku wyborczego. Korzystając z okazji chciałbym jeszcze raz, ale tym razem osobiście, podziękować wyborcom za oddany na mnie głos. Nic nie działa tak dopingująco i mobilizująco jak konstruktywna krytyka mieszkańców, którą przyjmuję z pokorą. Wyrażam również wdzięczność za „szczerą” troskę o realizację moich obietnic przedwyborczych. Spokojnie! Przyjdzie czas na ocenę mojej pracy w 2014r. Wówczas to wyborcy dokonają weryfikacji i rozliczenia moich obietnic, wrzucając kartę do urny.

Z drugiej jednak strony dziwię się, że absolwent bądź co bądź politologii, ze specjalnością służby publiczne, nie do końca zna ustawę o samorządzie gminnym i statut gminy, do której aspirował, a w szczególności zapisów dotyczących obowiązków radnego. Jeśli jednak w tej kwestii brakuje elementarnej wiedzy to pragnę poinformować, że do obowiązków radnego należą nie tylko wnioski, zapytania i interpelacje na sesjach, ale także praca w komisjach, wizje lokalne, rozpatrywanie skarg mieszkańców, lektura i analiza projektów uchwał, tworzenie nowych, nowelizacje, poprawki itp. Niestety muszę rozczarować swojego recenzenta i wyjaśnić, że ilość wypowiedzi, zapytań, interpelacji nie jest wprost proporcjonalna do ilości wybudowanych gminnych dróg, świetlic wiejskich, parkingów, latarni, długości chodników, zabytkowych fontann czy kanalizacji deszczowych. Od samego gadania jeszcze nic nowego i mądrego nie powstało. Potwierdzić to mogą wszyscy doświadczeni stażem Radni Miasta i Gminy Mirsk. Warto zasięgnąć języka u obecnych radnych jak wygląda praca radnego i dopiero formułować **uzasadnione zarzuty** wobec kogokolwiek.

Cierpliwości, być może już za cztery lata wyborcy obdarzą zaufaniem mojego przeciwnika i powierzą tak zaszczytną funkcję radnego. Wówczas Pan Tartak będzie się mógł wykazać: *elokwencją, błyskotliwością, polotem, pełnych merytorycznych treści przekazów*. Wiara, cierpliwość i pokora to wielkie cnoty, którymi warto kierować się w swoim życiu.

Bartosz Baszak

List do redakcji

Chciałam się odnieść do artykułu w „Izerach” z m-ca lutego 2011 r., dotyczącego Uchwały w sprawie wynagrodzenia Burmistrza Miasta i Gminy Mirsk p. Andrzeja Jasińskiego. Z artykułu tego wynika, że część radnych była za ustaleniem wynagrodzenia p. Burmistrza na niższym poziomie i rzeczowo motywowała swoją propozycję. Za utrzymaniem dotychczasowego b. wysokiego wynagrodzenia wypowiedziało się właściwie dwóch radnych, pan T. Pindel i pan J. Machulak. Zadziwiająca w swojej szczerości były wypowiedzi obu panów, które spowodowały, że radni przegłosowali dotychczasowe wynagrodzenie. Pan T. Pindel konieczność utrzymania dotychczasowego wynagrodzenia motywował tym, że, tu cytuje myśl, p. Burmistrzowi zapowiada się pracowita kadencja przy tak merytorycznej opozycji i jak się wyraził „nie odejmuje się nogi z gazu, gdy chce się podjechać pod górę”. Zrozumiałam, że ten gaz to pieniądze, im wyższe, tym lepsze działanie – a gdzie idea? Czy jeżeli wynagrodzenie osiągnie najwyższe widełki, to staniemy w połowie drogi, bo zabraknie motywacji. Pan Machulak natomiast wypowiedział się za jak najwyższym wynagrodzeniem dla p. Burmistrza „aby nie musiał rozglądać się na boki”. Winszuję dobrego zdania o p. Burmistrzu. Niepokojące w tym wszystkim jest jednak to, że właśnie te dwie wypowiedzi potrafiły przekonać radnych: Macieja Domina, Ryszarda Hnydyszyna, Marię Karatysz, Pinotra Konsura, no i oczywiście nawzajem panów autorów – Janusza Machulaka i Tadeusza Pindla do głosowania za dotychczasowym wynagrodzeniem. Gdy głębiej przeanalizować obie wypowiedzi, to nie świadczą one najlepiej o naszym p. Burmistrzu, tym bardziej, że padły z ust ludzi najbardziej z p. Burmistrzem związanych, tych którzy tworzyli jego komitet wyborczy. Można by te wypowiedzi potraktować też w kategoriach żartu, ale Rada to nie kabaret, a zapadające tam decyzje ważne są dla nas wszystkich. Wolałabym, aby każdy radny obojętnie z jakiej opcji czy jest „za” czy „przeciw”, wypowiadał się rzeczowo i merytorycznie ze znajomością rzeczy. Piętnastu radnych można wysłuchać, mamy prawo wiedzieć, co myślą i mówią. Mówią przecież w naszym imieniu, nie głosowaliśmy przecież na maszynki do głosowania. Każdy wydany pieniądz musi być dwa razy obejrzany, ponieważ każdy sobie zdaje sprawę nie wystarczy na wszystko. Często wydany na jeden cel, musi ograniczyć drugi.

Stała czytelniczka.

Jak było, a jak być powinno

Temat rewitalizacji i związanych z tym niejasności nie przestaje budzić emocji wśród mieszkańców Mirska. Szczególnie zainteresowani są członkowie wspólnot mieszkaniowych, dla których udział w Programie Rewitalizacji Miasta był szansą na pozyskanie funduszy, a w następstwie poczynienie remontów, zamieszkiwanych przez te wspólnoty budynków.

Najczęściej podnoszoną kwestią jest kontrowersyjna decyzja Rady Miejskiej poprzedniej kadencji, która w akcie głosowania *...pozytywnie ustosunkowała się do pisma Zarządu Wspólnoty Mieszkaniowej Aleja Wojska Polskiego 34 i 36 w Mirsk umożliwiając wspólnocie uczestniczenie w projekcie przygotowywanym przez Gminę Mirsk dotyczącym mieszkalnictwa, który może być finansowany w ramach priorytetu „Miasta” RPO.* Czy ta decyzja miała jakikolwiek wpływ na formalną możliwość zakwalifikowania wspomnianej wspólnoty jako partnera Gminy Mirsk na potrzeby realizacji projektu? Jestem przekonany że nie, a sam fakt pozytywnego ustosunkowania się rady do pisma Zarządu Wspólnoty należy traktować jako swoisty akt kurtuazji wobec Prezesa Zarządu i Burmistrza Gminy w jednej osobie.

Przyznam, że pomysł z pismem, skierowanym do rady był nader szczwany i jak się okazało skuteczny, bo to właśnie wspólnota zarządzana przez pana Jasińskiego została ujęta we wniosku złożonym do Urzędu Marszałkowskiego i to z tą wspólnotą Gmina Mirsk podpisała umowę partnerską.

Wszystko pięknie, ale czy zgodnie z obowiązującym z prawem?

Oto fragment wytycznych programowych Instytucji Zarządzającej RPO WD, dotyczących przygotowania Lokalnego Programu Rewitalizacji jako podstawy udzielania wsparcia z Regionalnego Programu Operacyjnego dla Województwa Dolnośląskiego na lata 2007-2013:

„W przypadku dodawania nowych projektów partnerskich opartych o umowę partnerską zawartą pomiędzy podmiotem publicznym oraz podmiotem spoza sektora finansów publicznych (np. partnerstwo gmina – wspólnoty mieszkaniowe) zastosowanie znajdują zapisy art. 28a ust 4 ustawy o zasadach prowadzenia polityki rozwoju, który stanowi, iż podmiot o którym mowa w art. 3 ust. 1 ustawy z dnia 29 stycznia 2004 r. – Prawo zamówień publicznych, ubiegający się o dofinansowanie, dokonuje wyboru partnerów spoza sektora finansów publicznych z zachowaniem zasady przejrzystości i równego traktowania podmiotów, w szczególności jest zobowiązany do:

- 1) ogłoszenia otwartego naboru partnerów w dzienniku ogólnopolskim lub lokalnym oraz w Biuletynie Informacji Publicznej; w ogłoszeniu powinien być wskazany termin co najmniej 21 dni na zgłoszenie partnerów;
- 2) uwzględnienia przy wyborze partnerów: zgodności działania potencjalnego partnera z celami partnerstwa, oferowanego wkładu potencjalnego partnera w realizację celu partnerstwa, doświadczenie w realizacji projektów o podobnym charakterze, współpracę z beneficjentem w trakcie przygotowania projektu;
- 3) podania do publicznej wiadomości informacji o stronach umowy o partnerstwie oraz zakresu zadań partnerów.

Powyższe zasady nie dotyczą projektów partnerskich realizowanych na podstawie porozumienia (dotyczą wyłącznie projektów realizowanych na podstawie umowy).” Z powyższego jednoznacznie wynika, w jaki sposób Gmina Mirsk powinna była wyłonić partnera, będącego wspólnotą mieszkaniową.

Każdy beneficjent, aplikujący o środki unijne zobowiązany jest do przestrzegania prawa krajowego, wspólnotowego jak również wytycznych Ministerstwa Rozwoju Regionalnego i Instytucji Zarządzającej. W naszym przypadku beneficjentem jest Gmina Mirsk, będąca jednocześnie podmiotem publicznym, a partnerem projektu jest rzeczona Wspólnota Mieszkaniowa, która jest podmiotem spoza sektora finansów publicznych.

Czy ktokolwiek widział w Biuletynie Informacji Publicznej oraz w dzienniku o zasięgu lokalnym lub ogólnopolskim ogłoszony przez gminę nabór partnerów? Jeśli tak, to proszę o informację, gdzie i kiedy takowe ogłoszenie się ukazało, bo być może wszystko odbyło się zgodnie z prawem. Być może mieszkańcy innych wspólnot przegapili tę informację, a teraz „szukają dziury w całym”.

Co jednak, jeśli okaże się, że Gmina złamała zapisy ustawy o zasadach prowadzenia polityki rozwoju, bo żadnego naboru partnerów nie było? Co jeśli złożony wniosek nie przebrnie przez sito oceny formalnej lub merytorycznej i przepadnie 800 tysięcy złotych? A takie prawdopodobieństwo istnieje, bo kluczowym kryterium oceny formalnej jest wskazanie

w Lokalnym Programie Rewitalizacji tylko jednego projektu do realizacji, a w uchwalonym przez poprzednią radę LPR wskazano aż cztery projekty. Czy Rada Miejska kolejny raz pozwoli sobie na „wciskanie kitu” i przejdzie nad tym do porządku dziennego? Miejmy nadzieję, że tak nie będzie, czego wszystkim ży-

czę.

Na koniec prośba i apel do wszystkich „ukrytych” autorów artykułów. Podnieście przyłbice i przestańcie się chować za pseudonimy, chyba warto wziąć odpowiedzialność za własne poglądy.

Andrzej Tartak

Hiszpańska inwestycja na górze Świeradowiec

Świeradów-Zdrój, który kojarzony jest obecnie przede wszystkim z licznymi pensjonatami, hotelami, sanatoriami, uzdrowiskiem oraz grupami niemieckich turystów i oczywiście od niedawna kolejną gondolową, już za kilka lata może stać się atrakcyjnym centrum sportów zimowych w naszym kraju.

Wszystko za sprawą hiszpańskiego konsorcjum Aqa, które dostrzegło turystyczne walory kurortu i otaczających go stoków. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planami inwestorów, to już za 3 lata w mieście będzie działał kolejny duży kompleks narciarski z profesjonalną infrastrukturą. Według planów inwestorskich Hiszpanie zamierzają ukończyć swoją inwestycję w 2014 roku. Wówczas kurort ma szansę stać się jednym z największych w kraju centrum sportów narciarskich, gdzie będzie można rozgrywać konkurencje alpejskie.

Grunt pod przyszłą inwestycję zostały sprzedane już dwa lata temu, światowy kryzys dotknął również Hiszpanię, nie ukrywam, że także naszą firmę, dlatego wstrzymaliśmy się z inwestycją. Zły czas mamy już jednak za sobą i mogę zapewnić, że nie wycofamy się z inwestycji w Polsce – mówi Joan Cruz Nues, reprezentujący konsorcjum Aqa.

Inwestorzy planują wybudowanie 6-osobowego wyciągu kanapowego na Świeradowiec i trasę zjazdową o długości 3 km. Ponadto powstanie nowoczesna baza hotelowa, restauracje, basen, centrum SPA i parkingi. Cała inwestycja pochłonie kwotę około 160 mln zł. Obecnie przedstawiciele konsorcjum przygotowują dokumentację techniczną tak, aby jak najszybciej móc uzyskać wszystkie potrzebne pozwolenia. Hiszpańscy inwestorzy biorą pod uwagę fakt, że mogą spotkać się z protestami ekologów, którzy blokowali budowę kolei gondolowej na Stóg Izerski, czego następstwem jest między innymi stworzenie tylko jednej trasy narciarskiej. Chociaż w tym przypadku wydaje się, że inwestorzy będą mieli ułatwione zadanie, ponieważ na górze Świeradowiec znajdują się już wyciągi orczykowe.

Władze Świeradowa-Zdroju, mając na uwadze powodzenie tak dużej i koszt-



Zniszczone zabudowania górnego odcinka dawnego wyciągu „Świeradowiec”

townej inwestycji, przymierzają się do nowych rozwiązań komunikacyjnych. Wiadomo, że planowana nartostrada wraz z bogato wyposażoną infrastruk-

turą przyciągnie całe rzesze turystów i amatorów białego szaleństwa nie tylko z Polski. W tym miejscu ponownie powraca temat możliwości reaktywacji linii kolejowej na trasie Gryfów Śl. – Mirsk – Świeradów Zdr. W minionej kadencji samorządowej powstało kilka ciekawych pomysłów odtworzenia powyższej linii jako weekendowej atrakcji turystycznej. Niestety na pomysłach się skończyło, koszt takiego przedsięwzięcia okazał się nie do udźwignięcia dla poszczególnych samorządów. Pomimo tego władze Świeradowa Zdroju nie spoczywają na laurach i prowadzą rozmowy z wrocławskim oddziałem PKP o możliwości przejęcia przez miasto dworca kolejowego wraz z torowiskiem o długości ponad 3 km. W planach jest utworzenie restauracji w pomieszczeniu byłej poczekalni, natomiast w budynku dawnego magazynu - muzeum kolei izerskiej. Dodatkową atrakcją ma być jeżdżąca na odcinku 3,5 km drezyna. Cała inwestycja w przypadku realizacji ma zostać sfinansowana ze środków unijnych.

Czy w Świeradowie-Zdroju uda się stworzyć centrum sportów zimowych na skalę ogólnopolską? Rozpoczęcie budowy inwestycji na Świeradowcu jeszcze w tym roku.

Bartosz Kuświk

Serdecznie zapraszamy

do nowo otwartego

KOMISU

przy ul. Zdrojowej 9

(naprzeciw baru Kiper).

W sprzedaży posiadamy

meble kuchenne

meble pokojowe,

części komputerowe,

AGD

i wiele innych rzeczy.

Atrakcyjne ceny.

KOMIS otwarty

pon.- piąt. godz. 9-17

sob. 9-15.



Osoby które przyjdą z tym ogłoszeniem lub egzemplarzem gazety otrzymają 10% zniżki

Wiosenne porządki

Nagły dzwonek telefonu. Z rąk mi leci panierowana ryba, uciapkana ręką łapię telefon. Kto dzwoni? Moja ulubiona koleżanka No tak, a propos tego ekologicznego czyszczenia, to jak wyleje się zupa na dywan, to należy zebrać, co się da i posypać dość grubo solą, trochę wetrzeć i zebrać. A z wikliną to... (bo ona ma dużo wikliny) - Wiem, wiem - przerywam jej - już zebrałam informacje, jak czyścić naturalnymi środkami wiklinę. -No to by było na tyle! I śmiejąc się, rozłączyła rozmowę.

Często się nam zdarza, że nie kupimy na czas proszku do prania czy płynu do naczyń i jak sobie wtedy poradzić? Czas na ekologiczne środki czystości.

Ekologiczne środki czystości nie niszczą środowiska i są w zgodzie z naturą. Nie wydzielają szkodliwych dla zdrowia i atmosfery gazów, nie zanieczyszczają wód gruntowych. Posiadają taką samą moc czyszczenia jak pełne chemii środki czyszczące ze sklepowej półki. Z tą różnicą, że są o wiele mniej kosztowne dla portfela, a drogie dla środowiska naturalnego i naszego zdrowia.

Proszek do pieczenia, soda oczyszczona, ocet i sok z cytryny służą do szorowania akcesoriów kuchennych od zlewu po delikatne szklane naczynia. Doskonałym środkiem do szorowania zakopconych i przypalonych garnków jest popiół – najlepiej z drewna. Soda oczyszczona jest bardzo praktyczna w praniu białych tkanin naturalnych.

Jeśli choć raz spróbuje się wyżej wymienionych produktów do sprzątania, intuicja sama podpowie, jak tego wszystkiego używać w innych awaryjnych sytuacjach.

Moja mama walczyła gorącym mlekiem z pleśnią. Wrzące mleko mieszała pół na pół z gorącą wodą i spryskiwała pleśniejące od wilgoci meble, następnie dokładnie wycierała spryskane miejsca do sucha. Rondelek gorącego mleka często lądował w tapczanie, gdzie pochłaniał nie miłe zapachy. Podobnie działa ocet winny rozcieńczony z wodą.

A z wikliną trzeba postępować następująco: bardzo brudne wiklinowe akcesoria należy wyszorować na sucho szczotką ryżową. Do mycia zaś użyć następującej mikstury: 1 litr wody, 4 łyżki wody utlenionej, 4 łyżki soku z cytryny.

Do przygotowania ekologicznego płynu do mycia naczyń będziemy potrzebować: sok z trzech cytryn, 400 ml wody, 200 g soli drobnoziarnistej, 100 ml białego octu.

Zmieszać sok cytrynowy z wodą, solą i octem. Gotować w garnuszku przez około 10 minut, ciągle mieszając, dopóki płyn trochę się nie zagęści. Jeszcze ciepły płyn wlać do szklanego naczynia. Używać jak każdy inny płyn do mycia naczyń.

Uniwersalny płyn do czyszczenia

Płynem tym, przelany do pojemnika ze spryskiwaczem, możemy czyścić dosłownie wszystko – lustro, szyby, ceramikę, szafki kuchenne itp.

Na uzyskanie pół litra płynu będziemy potrzebować: 100 ml czystego alkoholu, 400 ml wody destylowanej, 10 kropel płynu do mycia naczyń, parę kropelek dowolnego olejku eterycznego.

Zmieszać wszystkie składniki i spryskiwać płynem dowolny przedmiot do czyszczenia. Tym płynem można także myć okna.

Proszek do czyszczenia dywanów

Tym proszkiem jest po prostu soda oczyszczona w czystej postaci. Znakomicie czyści dywan, a przy okazji dezynfekuje i absorbuje nieprzyjemne zapachy.

Wystarczy równomiernie wysypać sodę oczyszczoną na dywan, a następnie za pomocą suchej szmatki wetrzeć ją w niego okrągłymi ruchami. Pozostawić na nim przez całą noc, a rano po prostu odkurzyć dywan.

Krem do czyszczenia sanitariatów

Poradzi sobie z nawet najtrudniejszymi do usunięcia zaschniętymi śladami na kuchence gazowej czy zaciekami pod prysznicem, czy w zlewie. Skuteczny również w czyszczeniu przypalonych garnków. Aby otrzymać ten wyjątkowy krem usuwający nawet najmocniejsze zabrudzenia, należy wymieszać sodę oczyszczoną z płynem do mycia naczyń tak, aby powstała konsystencja papki.

I na koniec kilka bardzo praktycznych ciekawostek. Młode pokrzywy maczane w wodzie pięknie myją szyby okienne, a obłożone nimi i zawinięte w lnianą ściereczkę mięso, kruszeje i zachowuje świeżość przez kilka dni (nawet poza lodówką). Ogień w kominku łatwiej rozpałić, jeśli drewnienka przeznaczone na rozpalkę, posypujemy solą. Przykre zapachy w szafkach kuchennych czy lodówce znikną po wstawieniu tam rondelka ze świeżo upaloną, jeszcze ciepłą kawą. Również cukier (1 łyżka) upalony na karmel i w gorącym rondelku wstawiony do kredensu czy lodówki pochłonie nieprzyjemne wonie. Kuchenne zapachy- nawet najbardziej przykre - pochłoną ugotowane w małej ilości wody na-

stepujące zioła i przyprawy: mięta, pieprz, goździki i majeranek. Po zagotowaniu pod przykryciem należy je następnie warzyć odkryte na małym ogniu. Również skórka z cytryny czy pomarańczy spalona na blasze lub ruszcie piekarnika zabija zapach smażeniny. Inny sposób to gotowanie octu w odkrytym rondelku, aż do całkowitego wyparowania. Myszy odstrasza kostka cukru opalona nad świecą i położona w szafce, kredensie lub koło mysiej norki. Blaszki do pieczenia ciasta, które mają ślady rdzy, należy posypać grubą solą kuchenną i po 10-15 min. pocierać kawałkiem skórki od słoniny. Rdza zniknie, a blaszki należy dokładnie umyć i starannie wysuszyć, aby uniknąć w przyszłości nowego zardzewienia. Oliwa, na której smażymy, pozostanie czysta do końca smażenia, jeśli wrzucimy do niej kilka czysto umytych i obsuszonych obierzyn z ziemniaków. Fusy z herbaty zalane na patelni, na której smażyła się ryba, należy doprowadzić do wrzenia i odstawić do wystygnięcia. W ten sposób zlikwiduje się przykry zapach ryby.

Wiedźma Izerska

PS. A zwykle śmieci po prostu zbieramy i segregujemy, co moi stali czytelnicy na pewno czynią i trochę głupio mi o tym wspominać.

Redaktor naczelny
Bogusław Nowicki

Zespół redakcyjny i współpracownicy

Bartosz Baszak, Marta Bielak, Feliks Chojnacki, Piotr Czembrowski, Grażyna Drożdżowska, Karolina Dulat, ks. Mariusz Godek, Edyta Hryciw, Jacek Krasnopolski, Bartosz Kuświk, Paweł Łupicki, Beata Nowicka, Jolanta Szepańczyk, Paweł Tomczuk, Erik Weijs, Stanisław Wojciechowski, Andrzej Woźniak

Skład i łamanie
Kuba Krasicki

Kontakt
tel. 505 125 654
e-mail: redakcja.izery@gmail.com

Adres redakcji
59-630 Mirsk
ul. Zdrojowa 21/1

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń, zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji materiałów oraz zmiany tytułów.

PRACOWNIA PROJEKTOWA

Ekoinżynieria

Anna Wolska, Wojciech Tomków

oferuje usługi w zakresie sporządzania dokumentacji projektowej:

- **przyłączy, sieci i instalacji wodociągowych,
kanalizacyjnych i gazowych**
- **instalacji wewnętrznych w budynku**
- **audytów energetycznych budynków**
- **świadectw charakterystyki energetycznej (certyfikaty)**
- **operatów wodnoprawnych**

58-533 Kostrzyca, ul. Kościuszki 157

tel. 515308290, 660701161

CENTRUM MOTORYZACYJNE ŚLIWIŃSKI

Części samochodowe nowe i używane

- oleje
- paski klinowe
- filtry
- klocki hamulcowe
- tłumiki
- haki holownicze
- kosmetyki samochodowe
- opony
- elementy blacharskie

Serwis

- wymiana oleju i filtrów
- naprawy bieżące i eksploatacyjne
- montaż haków holowniczych

Wulkanizacja i serwis opon

- komputerowe wyważanie kół
- montaż opon
- naprawa opon i dętek
- sezonowe przechowywanie opon

Pomoc drogowa

- dla samochodów osobowych i dostawczych

Usługi transportowe do 1,5t

Przesyłki kurierskie

- cały kraj w 24h

Nasz adres: Mirsk, Zielona 1
tel. (75) 78 34 096, kom: 503 12 50 20
E-mail: biuro@jumpol.com.pl, www.jumpol.com.pl